

Tabliczka mnożenia

Przełożył Miłosz Waligórski

Do raju wjechałeś windą: z parteru na piąte piętro. Pokoje na oddziale chirurgii były pełne młodych pielęgniarek, studentek szkoły medycznej, ich ruchów wyrażających zainteresowanie i gotowość do pomocy. Bieleły na nich fartuchy i wykrochmalone czepki. Jakby wokół ciebie latały anioły: jakbyś już od pierwszej chwili leżał pod narkozą.

Co więcej, wydaje ci się, że ta ruptura to rezultat dodawania, stopniowego zbierania się lat, przestrzeni i zmęczenia. Jakby suma wszystkich poprzednich sum. Nic nieoczekiwanego: coś na kształt obrazów z lusterka wstecznego, w którym wszystko się oddala, ucieka do tyłu i w końcu znika.

Poza tym jest tylko tabliczka mnożenia.

Mnożna i mnożnik, zapomniane słowa dziecięcej matematyki i ich iloczyn.

No i ten raj.

W pokoju gnieździło się siedmiu facetów: do każdego wyciągnąłeś rękę i podałeś swoje imię.

Pierwszy dziadek: źle słyszał. Rzadko kiedy odpowiadał. Coś z niego wyciekło, prawdopodobnie ropa, wrócił z izby przyjęć i opowiadał o tym, jak było pięknie, kiedy to z niego wylażyło, cały szczęśliwy, że może pozachwycać się samym sobą, z uśmiechem głaskał własną twarz.

Drugi dziadek kaszlał.

Trzeci miał na głowie kapelusz.

Przy oknie spał Rom. Grywał w piłkę i do tego palił. Pękł mu wrzód żołądka: w sylwestra wychylił pięć butelek szampana, ale co to za alkohol, skoro jego jedenastoletni syn wypił półtorej flaszki.

Pan z łóżka przy drzwiach powiedział do ciebie: „Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Takiego człowieka w szpitalu. Tak uśmiechniętego i spokojnego”.

Zajmowali się tobą przyjaciele: pan ordynator i dr lwuszek. Wieczorem przenieśli cię do sąsiedniego pokoju z dwoma łózkami, ale byłeś w nim sam, odcięty od świata, jakby wyciągnięty z gniazdka; ruch na korytarzu przypominał radio.

Przy łózkach były druciane klatki.

Obserwowałaś zmrok, pomarańczowe kominy na dachu budynku obok, ruch uliczny. Myślałeś o rzeczach w domu, jak na ciebie czekają, cichną w kurzu za oknem.

Jak cichnie i niknie światło w kurzu na oknie.

Musisz je umyć.

Tutaj też jest zakurzone, ale mniej niż w domu, może to przez wysokość, różnicę trzech pięter.

Dali ci czopki na rozwolnienie (wypróżnienie): jutro będzie operacja.

Dr Iwuszko powiedział do pielęgniarki: „Tę, proszę dać mojemu koledze tę jagódkę i będziecie mieli z nim spokój – przyjdę, jak zaśnie”.

Wieczorem przywieźli 93-letnią babcię. Znała datę swoich urodzin: dzień i miesiąc. Siostrzyczka położyła ją do łóżka.

Babcia chwaliła się: „Mogłabym się podpisać nawet z zamkniętymi oczami”.

Popiła herbaty.

Po cichu dodała: „Byłam bogata i wszelaka”.

Można by o niej powiedzieć: pełna życia.

Napis na wewnętrznej stronie drzwi do ubikacji: „Odwróć się i zobacz, czy zostawiłeś za sobą porządek!”.

Po korytarzu chodzą kroki bez ludzi, gra radio – śwędzi cię nos.

Operowali cię w czwartek. Dostałeś zastrzyk w kręgosłup: znieczulenie od pasa w dół. Nic nie czułeś: absolutnie nic. W tym czasie cię cięli i zaszywali dziurę w brzuchu.

Nogi miałeś jak kłody.

Dwa razy chciałeś ruszyć palcami, ale bezskutecznie, dwa razy się śmiałeś.

Na ścianie wisiał zegar.

Najpierw jednak zostałeś ogolony; do pokoju przyszedł młody pielęgniarz i dziabnął ci włosy obok przyrodzenia. Trochę cię przy tym pociął. Golił brzytwą, na sucho, kłaki wyrzucił do śmieci.

Operacja trwała pół godziny: od ósmej do wpół do dziewiątej. Operował cię pan ordynator, a zaszywał dr Iwuszko, który asystował. Powiedziłeś mu, żeby wokół rany coś ci wyhaftował albo przynajmniej zrobił koronkę.

Iwuszko powiedział: „Wszyscy oceniają rany po zaszyciu, ale co pod spodem spieprzył ordynator, tego już nikt nie widzi”.

Na początku operacji spytał cię, czy nic nie czujesz – nie czułeś.

Na końcu pan ordynator powiedział: „Dziękuję”.

Podczas operacji podali ci dożylną infuzję: płyn w butelce regularnie wypuszczał bąbelki.

Przewieźli cię na oddział intensywnej terapii. W skrócie: OIT. Ksywa: ojta.

Infuzja płynęła dalej.

W pobliżu krzątały się młode pielęgniareczki; mierzyły ci ciśnienie.

Smutne gwiazdy potrzebują ciemności; te weselsze, jaśniejsze i bardziej lśniące są widoczne nawet o zmierzchu.

Na ojcie widziałeś sutki dwóch kobiet. Najpierw jednej babci, która się, biedaczka, usmarowała: kiedy podnieśli przykrycie, samo prześcieradło, między nogami, gdzie przypadkowo patrzyłeś, leżała ciemna kupa. Babcia była niepokieszona: „Przykro mi” – płakała.

Zaraz ją umyli.

Później widziałeś jeszcze sutek, tylko lewy, kobiety w średnim wieku, dość płaski, brązowawy, z wgłębieniem w oklapłej brodawce, talerzyk kawy z mlekiem.

Babcia miała brodawki jak czereśnie.

Żadnej erotyki: same zwykłe spostrzeżenia.

W takim miejscu.

Przewieźli cię do pokoju. Dr lwuszek powiedział, że masz wyjątkową opiekę: klatkę nad łóżkiem. Wyjątkowe jest to, że jest otwarta i że jej nie zamkną.

W nocy nad głową widziałeś jasną gwiazdę: skrzyła się w rombie z drucików nad łóżkiem.

Druciki były pomarańczowe.

Ale w półmroku zawsze czerwieniały.

Tę wesołą gwiazdę (albo inną) widziałeś także rano o świcie, prawie w tym samym miejscu, w oku kolorowych drucików, więc pewnie to była jakaś inna – z innej części nieba.

Później na wysokościach za twoim oknem mignęły dwa oddziały lecących ptaków. Może wędrownych. Może wiosennych.

Włosów została ci jedynie połowa, tylko jeden wąż po lewej stronie, jakby twój ptak (złe ptaszysko Lojzo) miał tylko jedno skrzydełko.

Próbowałeś chodzić.

Były tam dwie miłe siostry: Helenka i Katka.

Zasnąłeś w środku dnia, potem stwierdziłeś, że w prawdziwie białym kolorze (tynku ściany) jest też odrobina fioletu, delikatny i przyjemny odcień snu.

Zdanko: wszyscy są tu tacy dobrzy.

Szczegół: na poduszce przy twojej głowie leży czasopismo, oddychasz przez nos, położony na boku, kartki papieru podnoszą się i opadają, na razie jeszcze widać, że żyjesz, a może widać, że na razie jeszcze żyjesz.

Rozwiązałeś kilka krzyżówek. Jako podpórki do pisania używałeś metalowej tabliczki z kartką, na której siostrzyczki w zielonych kwadracikach wpisywały dane o twoich temperaturach, diecie i ruchu. Wywieszkę odwróciłeś, podłożyłeś pod czasopismo i dużymi literami wypełniałeś inne kwadraciki: pionowe i poziome pola krzyżówki.

Szukałeś hasła: było na drugiej stronie.

Siostrzyczka Katka ma na powierzchni skóry widoczne króciutkie kreski włosów. Są cieniutkie i czarne, ułożone w jednym kierunku, jakby były pociągnięciami ostro zatemperowanego ołówka. Mieć taki ołówek.

Historyjka: przy stole rozmawiają dwaj mężczyźni, jeden rozwiązuje krzyżówkę, drugi pije piwo, krzyżówkowiec od czasu do czasu pyta piwosza o jakieś słowo, ten zazwyczaj nie wie, mówią również o sobie, krzyżówkowiec nie radzi sobie z żoną, kłóci się z nią, później rozmowa ucicha, krzyżówkowiecowi nie udaje się odgadnąć hasła, żegna się i odchodzi, po chwili piwosz też dopija, wstaje od stołu, rzuca okiem na krzyżówkę, wszystkie pola są zapisane, chce już odejść, ale przygląda się jeszcze raz – widzi, że prawie wszystkie kwadraciki są zapełnione tymi samymi słowami: „NIE WIEM”.

Poszedłeś do pielęgniarek poprosić o coś na rozwolnienie, już pięć dni nie wydalasteś. Straciłeś apetyt. Pielęgniarka Katka spytała, czy nie pomogły te glicerynowe czopki, które ci dała rano. Pomogły, pomogły, tylko że wszystko, co wydalisteś to właśnie te czopki. Dała ci dwie tabletki.

Znalazłeś je na izbie przyjęć. Po ciemku. Przy otwartym lutowym oknie. Była szósta wieczorem.

Chciało się odlecieć.

Z radia grała muzyka.

Brać przyniósł ci banany, pomarańcze i gruszki.

„Buławki” – powiedział. „Na buławę”.

Ale buława na razie nic: śpi. Chociaż w nocy wydało ci się albo śniło, że jednak ożywa.

Takie zdanie: „Nie politykuję, ani trochę, ale twój punkt widzenia jest bardzo zły”. (Takie zdanie. Zdanie starej kobiety. Kobiety w szpitalu. W sąsiednim pokoju).

Kolejne odwiedziny: kolega Sewas, koleżanka Ega, matka, teściowa – i codziennie twoja żona, w sobotę nawet dwa razy, rano i po południu, tak że nadałeś jej dwa imiona, Weronika i Zuza, żeby mieć o jedną wizytę więcej.

Na korytarzu, po drodze do WC, spotykasz dziadka, który od rana do wieczora kaszle.

„Dobry wieczór” – mówisz.

Dziadek chodzi tędy o wiele częściej niż ty, bo obok toalety jest też łazienka i pomieszczenie do dezynfekcji, gdzie płucze gardło. Ten nieprzyjemny dźwięk słyszałeś kilka razy nawet w pokoju, a kiedyś i w ubikacji (na tronie).

Teraz wraca do pokoju, mijasz go, na twoje pozdrowienie odpowiada: „Mhm”.

Bardzo dobra reakcja: chyba nie może mówić, pewnie ma coś z gardłem. Coś jak: mhm-tak, dobry wieczór – ale też prościej: mhm-tak. Od razu te trzy litery, rozumiane jako pozdrowienie, nabierają większego sensu. A może i znaczenia.

Ból ustępuje powoli, jakby w ogóle nie ustępował, ale stopniowo ośmielasz się wykonywać stare (wypróbowane) ruchy – bolą cię coraz mniej.

Dziadek charczy tak, jak kraczą kruki, czarne sadze nieba, rewers padającego śniegu.

Śnił ci się ojciec: grał w piłkę i miał nowe zęby.

Małomówny dziadek spieszy za pielęgniarem. Może idzie na operację: kroczy jak do boju. Pomaga sobie laską.

I nikogo nie widzi.

Musisz stawać pod wiatr, powiedział ci gołąb, nigdy z wiatrem, ogonem trochę przyhamować i nadstawić skrzydła, żeby wiatr mógł cię ponieść.

Nie bój się, mówił, nauczysz się.

Zaraz po śniadaniu znowu zasnąłeś. Pamiętasz końcówkę snu. Stałście z bratem gdzieś przy drodze, przyszedł ojciec – i obu wam mówił, że pójdziecie na hlohoveckie piwo. Później jeszcze gdzieś zniknął. Brat albo ktoś inny mówił, żeby już lepiej pójść.

Jakby nie chciał iść na to piwo. Nagle odniosłeś wrażenie, że ktoś wykręca ci za plecami ręce i równocześnie się topisz, a wokół ciebie dryfują pęcherzyki powietrza przyspieszające twoje opadanie. Nie umiałeś się bronić. Chciałeś uderzyć tego nieznanego, ale nie dawałeś rady, trzymał cię za ręce. Traciłeś świadomość.

Wtedy się obudziłeś.

Właściwie nawet nie wiesz, czy w Hlohovcu mają browar, raczej nie, na bank.

Na dachu sąsiedniego budynku siedziało stado gołębi. Chmura nad nimi miała kształt idealnego skrzydła. (Drugiego brakowało.) Piórka osadzone na jego krawędzi rozchodziły się faliście, opływowo. Takimi gęsimi skrzydłami kiedyś zmiatało się mękę z deski do wałkowania. To jednak było idealnie białe. Gołębie jakby drzemały. Prawie się nie ruszały. Słońce już nie świeciło na nie. Raz po raz któryś ześlizgnął się po skośnym eternicie. Chmura się oddalała i zmieniała kształt.

W pewnym momencie wyglądała jak foka.

Wahałeś się: Weronika czy Zuza.

Gołębie to karpie powietrza, a pustułki to szczupaki.

Na moment poczułeś siłę spokoju.

Jutro rano będzie 9 lutego. Wyciągną ci nitki (jak mówi dr lwuszko) i pójdziesz do domu.

Dzisiaj był u ciebie kolega Sewas. Przyniósł ci zdjęcie: jesteś na nim chwilę po operacji, nie masz nóg – dokładnie tak też było w rzeczywistości.

Nie miałeś nóg.

Przynajmniej nie czułeś, że je masz, jakby sobie od ciebie poszły.

Dzisiaj wytrwale chodziłeś po korytarzu.

Innym razem najpierw było zdjęcie, a potem rzeczywistość – jej objawienie: na jednej fotografii nie miałeś włosów na kilka lat wcześniej, zanim naprawdę wytysiałeś. Jesteście na niej (na tej fotografii) z kolegą Sewasem. We włosy świeci wam słońce.

Może tak się wszystko zaczyna: wypadaniem włosów.

To upraszczanie i to mnożenie.

Oraz utratę ciężaru.

Musisz stawać pod wiatr, powiedział ci gołąb, ogonem ostrożnie przyhamować, żeby poniósł cię prąd powietrza, nie ślizgać się po wietrze, na to mamy dość czasu, uwierz mi, najpierw musisz osiągnąć wysokość, żebyś ją mógł zmienić w szybkość, która znów cię popchnie i wyniesie wyżej, o wiele wyżej, wysoko, jak tylko umiesz sobie wyobrazić. Nie bój się, mówił, nauczysz się. Wszystkiego innego też: kluczyć w zielonym półcieniu drzew, unikać masztów, znajdować trasy z ciepłym, bogatym powietrzem, unoszącym się nad powierzchniami wód, w których mieni się słońce, tak że lecisz między dwoma ogniami, a powietrze gęstnieje jak miód. Nie bój się, szeptał, jeszcze się nauczysz. Dojdziesz do tego, gdzie się chować przed pustułką, jak sygnalizować unik w lewo, a tak naprawdę umykać prawą stroną w ciemny kąt pod dachem, w dokładnie przeciwnym kierunku, ścieżką ocalenia. Wejdzie ci to w krew. Szybowanie i marzenie, leniwy smak lotu, kiedy stajesz się pupilem powietrza. Uwierz mi: musisz się nauczyć kilku ruchów, powtórzyć

je tysięcy razy, z wyczuciem wypróbować i w skupieniu przećwiczyć, żeby już więcej o nich nie myśleć. I wzbić się ponownie. Wślizgnąć się i zmieszać z powietrzem. Odważyć się na najwyższą głębię nieba. Stracić z oczu siebie samego. Nareszcie: zawsze chciałeś żyć nad morzem. Tymczasem jedynym morzem, które masz pod ręką, jest niebo, ruchome sklepienie w twojej głowie, kopuła firmamentu. Jeśli więc pogodziłbyś się z myślą, że żyjesz w środku tego oceanu, zanim nabrałbyś większej równowagi, lecąc, za nieboskłon miałbyś ziemię w najgłębszej wysokości i wiedziałbyś, co się na niej dzieje, tak jakby była niebem, tym, które co wieczór znika i co rano pojawia się na nowo. W dole rozpościerałyby się wyżyny, a ciebie oblewałoby morze. Pływałbyś w powietrzu. Nie bój się, mówił gołąb, nauczę cię tego. I całej reszty też: wszystkiego cię nauczę. Zstępowaliście w stronę najbliższego dachu. Gorliwie przytakiwałeś. Ostrożnie i delikatnie, acz dokładnie, tak jak cię uczył, rozkładałeś skrzydła wzdłuż boków, żeby, jeszcze zanim wylądujecie, przelotnie go pocałować.

Ze zbioru opowiadań *Teplomer* (*Termometr*, 1996)



Zdjęcie Tibor Winkler